

Poniższe felietony ukazały się w brytyjskim czasopiśmie chrześcijańskim **THE TABLET**. Przedruk za pozwoleniem.

Alkoholiczka

Myślę, że jest coś, czego wszyscy szukamy, nawet jeśli nie potrafimy tego nazwać lub przyznać się do tego. Chodzi o pragnienie pewnego rodzaju empatii. Może nie jest to najlepsze słowo, gdyż sugeruje, że szukamy osób, które nas rozumieją, a tymczasem chodzi mi o coś bardziej wzajemnego, spontaniczną akceptację równości i wspólnego losu. To coś na kształt zakochania się, bez chęci posiadania lub nawet konieczności przejścia przez etapy początkowego zauroczenia. Nie potrafię znaleźć na to odpowiedniego słowa – może proste słowo „sympatico” albo portugalskie słowo „saudades”, którego nie da się dokładnie przetłumaczyć.

Ostatecznie celem tych poszukiwań jest Bóg, żywy Bóg. Nie sucha teologia moralności i struktur władzy, lecz owe Światło w tunelu, które nigdy nas nie odrzuci i nie wyda innych osądów niż te, które ujawnią pełną współczucia prawdę o nas. To Bóg, który przytula do siebie w sposób bezpośredni i nieskończony. „Koniec tęsknoty za miłością” – jak pisały o Nim Upaniszady. „Ojciec” – jak nazywał Go Jezus. Jest On również obecny na tym świecie i ujawnia się w rzadkich relacjach, które zbudowane są na doskonałej pokorze, wolnej od próby sił i współzawodnictwa. „Obłok niewiedzy” rozróżnia pokorę niedoskonałą, która jest cechą religijnej pobożności – użalanie się nad wszystkimi spektakularnymi niedoskonałościami naszego ego – oraz pokorę doskonałą. To w jej świetle stajemy przed Bogiem w prawdzie o sobie samym, ze wszystkimi naszymi ułomnościami – dokładnie tak, jak widzi nas Bóg. Ta pokora, która jest niczym innym jak mądrością, uświadamia nam w sposób dobitny, czasem poprzez powolne i bolesne w niej wzrastanie, że jesteśmy kochani prawdziwie i bezwarunkowo. By to zrozumieć, niejednokrotnie potrzeba dużo czasu.

Jak u tamtej kobiety. Przypominała mi, wybaczenie to porównanie, niczym nie wyróżniającą się staruszkę. Unikała długiego bezpośredniego kontaktu wzrokowego i czekała do samego końca dyskusji, aby zabrać głos – czasami taka taktyka może wskazywać na silne ego, które chce mieć ostatnie słowo lub na słabe ego, łapiące ostatnią szansę bycia wysłuchanym. W jej przypadku, biorąc pod uwagę jej ton i opanowanie, był to głos zrównoważonego ego, z szacunkiem dla samego siebie, trochę nieśmiałego, ale nieskrywanego już dłużej. To rzadko spotykany rodzaj siły autorytetu, który może się okazać – tak jak to było w przypadku Jezusa – nie do zniesienia dla przeciwników. Bez wątplenia bierze się on z osobowości, która została ukształtowana zarówno przez upokorzenie, jak i doświadczenie zmartwychwstania. Opowiedziała swoją historię o tym, jak przed laty nałogowo piła i z trudem wychowywała pięcioro dzieci. Pewnego dnia, na skraju wycieńczenia, jeździła bez celu po mieście, kiedy nagle uświadomiła sobie, że szuka kościoła, jakiegokolwiek kościoła. Nie była osobą zbyt religijną. W końcu znalazła kościół i zadzwoniła do drzwi. Otworzył jej ksiądz. Do dziś nie może sobie przypomnieć, co takiego jej powiedział, że wyjawiała mu swoją niedolę i wstyd.

Pamięta jedynie, że w tamtym momencie, kiedy on zmieniał jej życie, poczuła się w pełni zaakceptowana i rozumiana. Może był to najlepszy z księży, a może najgorszy. Wtedy, kiedy leciała w dół po spirali rozpaczy, był on dla niej po prostu księdzem.

To było zapierające dech świadectwo wybawienia poprzez akceptację i zrozumienie. One zmieniły jej życie i pozostały w niej żywym wspomnieniem na długie lata jako nagłe doświadczenie łaski. Łaski, która stała się jej udziałem, a na którą święci mogą czekać całe życie i nigdy jej nie dostąpić. I choć ten moment pozostawał żywy w jej pamięci i podobnie jak Julianna z Norwich czerpała z niego nieustannie sens i siłę, to jednak nie żyła przeszłością. Odkryła inne radości i przełomowe doświadczenia – jak na przykład praktykę medytacji jako klucz do 11 kroku – które wypełniły ją wdzięcznością. Rzeczywiście wydawało się, że jest ona w stanie odurzenia – to szczególne odurzenie Grzegorz z Nyssy nazywał „trzeźwym upojeniem”.

Wdzięczność, tak jak świadomość bycia akceptowanym, to niezwykle wyzwalający stan umysłu. Kiedy wzniesiesz się na nowe wyżyny, natychmiast opadają obawy i niepewność, które pętały cię przez wieki. Odkrywasz, że większą radość przynosi dawanie niż branie – „dlaczego nie widziałem tego wcześniej?”.

Tak jak inni w programie 12 kroków, kobieta ta nigdy nie zapomniała, jak to jest znaleźć się na samym dnie i podnieść się dzięki tej całkowicie przenikającej i niezmiernie sile, jaką jest łaska. Wydawało jej się, tak jak wielu innym, którzy mogliby opowiedzieć swoje historie, że czas stał się jednym punktem. Przeszłość została odkupiona, a przyszłość – chociaż wciąż nieznana – była zagwarantowana. Żyła życiem adwentowym – powolnym, nieodwołalnym zbliżaniem się przyszłości i jej nagłymi wybuchami w teraźniejszości. A wszystko to dlatego, że w jedno zwyczajne popołudnie, ktoś otworzył drzwi obcej kobiecie i był dla niej takim, jakim Bóg jest dla nas i jakimi my powinniśmy być dla siebie nawzajem.

With love

Laurence Freeman OSB

grudzień 2010

tłum. Agnieszka Borowiecka

Ojciec Orsy

Zawsze było mi trudno oprzeć się wrażeniu, że specjaliści od prawa kanonicznego przypominają policjantów ruchu drogowego albo strażników bezpieczeństwa. Bez wątplenia są potrzebni ze względu na konieczność porządku prawnego, ale jakoś bardziej dbają o jego literę, niż ducha. Ostatnio pewien znawca prawa kanonicznego i jednocześnie teolog zmienił mój pogląd na ten temat. Pokazał mi jak, we właściwych rękach, prawo kanoniczne jest narzędziem wolności i innowacyjności. W rozmowie z nim można zobaczyć pewną rutynowość instytucji prawa, ale też doświadczenie

uprzywilejowania i entuzjazmu przynależności do niej. Dla katolika dzisiaj, poznanie wizji ojca Ladislasa Orsy'ego SJ * jest jak lot w dzień krystalicznej widoczności, wysoko ponad historycznym terytorium Kościoła i oglądanie horyzontu we wszystkich kierunkach z zadziwieniem, co to wszystko ma znaczyć.

Rozmawialiśmy w moim pokoju gościnnym w domu jezuickim na Uniwersytecie Georgetown, gdzie jest on wykładowcą na wydziale prawa, a ja odwiedzałem Centrum Medytacji i Dialogu Międzyreligijnego Johna Maina. Chociaż jezuici i benedyktyni przypuszczalnie powinni być oddaleni od siebie niczym dwa bieguny, to jednak wiele ich łączy w kwestiach akademickich, mistycznych czy pastoralnych. Czasami w cudowny sposób potrafią pociągnąć całkowicie odmienne osobowości i opinie w tym samym Bożym kierunku. W miarę jak nasza rozmowa nabierała tempa ojciec Orsy wydawał mi się coraz bardziej benedyktyński, a ja czułem się raczej jak jezuita. Zgodziliśmy się, że oznaczanie "duchowości" precyzyjnym kodem kreskowym jest współczesną pomyłką. Jezuici niegdyś szczylic się tym, że nie mieli specyficznej duchowości, a "duchowość benedyktyńska" mogła oznaczać wszystko i nic. A jednak ważne szczegóły historii nie zostały zatracone w skrupulatnym badaniu ogólnych pojęć dotyczących wiary.

T.S. Eliot był sceptyczny w kwestii 'mądrości starych ludzi' i widział raczej ich skłonność do lęku oraz panikę przed utratą życia. Spotkanie kogoś bardzo dojrzałego, w którym mądrość jest głęboko zakorzeniona, o bystrym, przytomnym i zawsze młodym umyśle, uwidacznia nam, co Eliot miał na myśli mówiąc, że tradycja musi być przez jednostki mocno przyswojona zanim będą one miały w nią swój twórczy wkład. Nowa książka ojca Orsy'ego napisana w jego dziewiątym dziesięcioleciu i niedawno recenzowana przez Johna Wilkinsa w National Catholic Reporter, niewątpliwie wiele wnosi do tradycji i niesie ze sobą balsam mądrości, lecząc zranienia współczesnego Kościoła. Książka "Przyjęcie Soboru: intuicje oraz debaty teologiczne i kanoniczne" mogłaby być bardziej zwięźle zatytułowana, ale jest ostra jak brzytwa i rozprawia się z przygnębieniem i wstydem, jaki wielu katolików dzisiaj czuje.

Ojciec Orsy argumentuje w niej z niezwykłą precyzją za wypełnieniem nauczania II Soboru Watykańskiego w kwestii pełnego udziału świeckich w zarządzaniu Kościołem i za dojrzałą zasadą kolegalności między biskupami a papieżem. Dziesięć lat temu ten węgierski teolog toczył spór z kardynałem Ratzingerem, stojącym wówczas na czele Kongregacji Nauki Wiary. Powodem było ukute przez kardynała pojęcie "definitywnej prawdy". Było ono podobne do doktryny noszącej znamiona nieomyślności, choć kładło na nią mniejszy nacisk. Orsy argumentował, że w niebezpieczny sposób nielogicznie redukowało ono prawdę do roli narzędzia służącego do narzucania jednolitości wiary. Orsy z szacunkiem pozwolił Ratzingerowi mieć ostatnie słowo, ale w efekcie tej dyskusji pojęcie definitywnej prawdy nie pożyło długo. Cała ta wymiana idei obyła się bez wzajemnego jadu - wszystko spełniało normy cywilizowanej debaty. Zamiast tego ujawniło się jak walczy się o prawdę przez sprawdzanie własnych intuicji. Zobaczyliśmy jak instytucje zachowują zdrowie dzięki regule prawa, kulturze osobistej i otwartej debacie umysłów, których siła pozostawiona samym sobie mogłaby przyćmić ich ideały cieniem własnego ego.

Kiedy globalna ekonomia i polityka wpadają z jednej skrajności w drugą, taka rozważa i umiarkowanie mogą wyglądać jak odkrycia archeologiczne. Sam Kościół katolicki czasami wydaje się zbliżać do krawędzi przepaści. Bez papieża mógłby się przewrócić tak, jak to się dzieje ze wspólnotą anglikańską. Jednak ta zachowawczość może też usztywniać. Jak więc mamy trzymać się drogi i poruszać naprzód? Umysły takie, jak Ojca Orsy'ego - choć nie ma ich wiele wokół nas - pozwalają nam widzieć Kościół taki, jakim jest - nie tylko jako skonfliktowaną organizację, ale jako "organizm, który rodzi życie i energię".

Taka newmanowska jasność widzenia ze swoją głęboką znajomością przedmiotu otwiera przed nami historyczną perspektywę, którą media szybko zatracają przy swojej pogoni za sensacją i zafiksowaniu na jednostkach. Zmaganie się z obecnym kryzysem okresu przejściowego może być złagodzone dzięki historycznej perspektywie. Dzięki niej uświadamiamy sobie, jak wiele z naszych problemów spowodowanych jest przesadną centralizacją i klerykalizacją zarządzania Kościołem, izolacją papieża od pełni magisterium w połączeniu z wyłączeniem świeckich z odpowiedzialności łączącej się z dojrzałą przynależnością do Kościoła.

Po naszej podróży po współczesnym Kościele, Ojciec Orsy odwiedził nasze centrum medytacji. Niektórzy ze studentów zaczęli z nim rozmawiać. Obserwowałem ich oczarowanie jego umysłem, który wydawał się młodszy od ich własnych. Otwierał ich na nowe drogi prowadzące do zrozumienia tej delikatnej, ale żywej tajemnicy wiary, którą Kościół będzie zawsze niedoskonale niósł przez wieki.

With much love

Laurence Freeman OSB

listopad 2010

tłum. Ewa Pado

* Ojciec Orsy SJ urodził się 30 lipca 1921 r. w Węgrzech. W 1943 wstąpił do zakonu jezuitów w Budapeszcie i przyjął święcenia kapłańskie w 1951 roku w Leuven (Belgia). W 1948 roku uzyskał licencjat z filozofii na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, a następnie licencjat z teologii na Katolickim Uniwersytecie w Leuven w 1952 roku. Pięć lat później uzyskał doktorat z prawa kanonicznego na Uniwersytecie Gregoriańskim. W 1960 roku uzyskał dyplom magistra w zakresie prawa cywilnego na Uniwersytecie Oksfordzkim. Ojciec Orsy współpracował z Katolickim Uniwersytetem Ameryki, Uniwersytetem Gregoriańskim w Rzymie, Fordham University i Missouri of Fribourg w Szwajcarii. Wykładał prawo rzymskie, historię filozofii prawa i prawo kanoniczne. Ojciec Orsy jest autorem dziewięciu książek z dziedziny teologii i prawa kanonicznego oraz setek artykułów w różnych czasopismach.

Owieczka

Nigdy nie pomyliłbyś tego miejsca z pokazową posiadłością właściciela ziemskiego albo z eleganckim ranczem wynajmowanym na wakacje. Dwie zaparkowane przyczepy, rozpadająca się stodoła, wiejskie podwórko w całości zapełnione rurami, skrzynkami, narzędziami, workami pełnymi różnych rzeczy i stosami wikliny, której

używa się do wyplatania koszy – miejsce codziennej produkcji. To dom i miejsce pracy bardzo utalentowanej wikliniarki i jej partnera. Gdybyś spotkał ich w dużym mieście albo na jego przedmieściach, pomyślałbyś, że to ekscentrycy, ale tu – w małej wyspiarskiej społeczności – przejawiają rzadko spotykane zrównoważenie umysłowe. Jeden z Ojców Pustyni powiedział kiedyś, że nadchodzi czas, kiedy ludzie oszaleją i o zdrowym psychicznie człowieku będą mówić: „on jest szalony, ponieważ nie jest taki jak my”. Spotkanie z ludźmi zdrowymi psychicznie i duchowo zawsze odnawia naszą radość i nadzieję, choć musimy być dzisiaj przygotowani na to, że nie zawsze będą wyglądać na normalnych. Wikliniarka jest przepełniona energią, ma specyficzne, dość szorstkie poczucie humoru, przewrotną pokorę pracującego artysty i w bezpośredni, nieskrępowany sposób patrzy prosto w oczy swojemu rozmówcy. Czujesz, że nie nauczyła się tego na kursie zarządzania, ale patrzy tak, dlatego że interesuje się tobą, jako częścią świata, który zamieszkuje.

Podwórko i otaczające pole pełne są zwierząt: koni, psów, kotów, kurczaków, kóz. Kiedy partner wikliniarki przyszedł mnie przywitać, zauważyłem, że z za rogu stodoły wyszło za nim jagnię. Zapytałem go, czy hoduje także i owce. Wydawało się to dziwne, że jagnię cały czas przybliżało się do nas. Owce nie związują się przecież z ludźmi tak bardzo, jak sugerowałyby to niektóre przypowieści. Zauważyłem także, że jagnię poruszało się trochę dziwnie, kołysząc się niestabilnie na swoich czterech nogach, jakby ktoś dodał coś do jego karmy. Zatrzymało się obok nas, jak dziecko lgnące do swoich rodziców albo pies szukający towarzystwa i budujący emocjonalną więź, dając nam odczuć, że nas kocha. Jagnię patrzyło na mnie z tą samą bezpośredniością, z jaką patrzyli na mnie jego opiekunowie. Wydawało się mówić: „Nie jestem zwykłym barankiem”. Skoro jednak nie mogłem dowiedzieć się wszystkiego od niego samego, zapytałem jego opiekuna. „Rzeczywiście” – powiedział – „To było przedziwne małe stworzenie.” Wikliniarka opiekowała się nim dniem i nocą, kiedy po urodzeniu wydawało się, że lada moment umrze. Zdiagnozowano u niego zapalenie mózgu i rdzenia kręgowego. Potem wyczytałem, że rzeczywiście jest to choroba, która zdarza się u owiec. Według mego źródła chora owca ma trudności z utrzymaniem się na nogach, a jej tylna część ciała jest osłabiona. Jej mózg jest zarażony, antybiotyki mogą pomóc, ale rokowania są niepewne. To jagnię, umysłowo i fizycznie upośledzone, wygrało los na loterii i miało zapewnioną czułą opiekę przez resztę swoich dni. Jakkolwiek nieproduktywne i przeznaczone na straty w ewolucyjnej walce o przetrwanie na polu bitwy nieubłaganej przyrody, zawsze będzie bezpieczne u wikliniarki. Było coś nieodparcie zdrowego i ważnego w tej ludzkiej trosce o chorego osobnika innego gatunku.

Tego dnia najważniejszą wiadomością było odkrycie bomb ukrytych w tonerach do drukarek znalezionych w ładunkach samolotów kurierskich. Niektóre z nich znaleziono także w samolotach pasażerskich. Miały one na celu zabić setki ludzi. Tych, którzy planowali tę zagładę naturalnie, a raczej (nie)naturalnie, zupełnie nie interesowało, kogo zabiją. Pasażerowie ważni byli tylko jako ofiary, jak baranki zabijane w świątyni albo jako straty ludzkie ponoszone w każdej wojnie. Możliwe, że to co nas najbardziej szokuje i przeraża w atakach terrorystycznych, to ich nieludzka bezosobowość. Konfrontacja z terroryzmem pokazuje, jak daleko człowiek może odejść od siebie samego, nie tylko do stanu „przed-człowieczeństwa” (pra-człowieka), ale może zmierzać do całkowitej degeneracji swojej własnej natury. Do tego nie jest zdolne żadne inne stworzenie na świecie. Jakkolwiek bardzo potępiamy terroryzm, to jesteśmy z nim zrośnięci i czujemy się oskarżeni przez sam fakt jego obecności. Jeżeli

„oni” tak robią, to czy „ja” nie byłbym do tego samego zdolny? Tak, jak czujemy się dumni, kiedy słyszymy o ludzkiej odwadze lub altruizmie, podobnie też czujemy się upokorzeni i zdegradowani przez nieludzkie postępowanie innych. Eksperci ds. bezpieczeństwa mówią, że człowiek wytwarzający bomby jest, jak malarz. Ma swój osobisty styl, który go odróżnia od innych. Tak jak w jakimś halloweenowym odwróceniu tego co święte, zdolność do niszczenia jest sztuką. Mówimy o „sztuce wojennej”, tj. zamieniamy twórczą wyobraźnię i dzieła, które błogosławią na te, które okaleczają z maksymalną efektywnością.

Moja znajoma wikliniarka i jej porażony mózgowo baranek wydają się być tak wielce ekscentryczne, nieważne i marginalne obok takiej skali przemocy. Kamienna bezdusność ludzi zarażonych nienawiścią wydaje się nie do pokonania wobec naiwnej i czulej troski, jaką człowiek może dać owczej kalece. Ale co może uleczyć rozgrzany do czerwoności umysł terrorysty i przemienić jego serce z kamienia w serce ludzkie, jest bezmiar takiej z pozoru zmarnowanej miłości wikliniarki do jej owieczki.

With much love

Laurence Freeman OSB

wrzesień 2010

tłum. Ewa Pado

Skellig

Czasami dobrze jest nie wiedzieć wszystkiego. Kiedy nasza mała łódka w drodze do Skelling przebiła się przez pianę wiecznie zmieniających swój kształt fal, angielski pielgrzym, nie bardzo zdając sobie sprawę, dokąd zmierza, zapytał: „Co u licha kazało im to przybyć?”. Miał na myśli celtyckich mnichów, którzy między VI a XIII wiekiem modlili się na tej nagiej skale o wysokości 250 m, sterczącej na środku morza ok. 13 mil od wybrzeża Kerry. Jeżeli istniała odpowiedź na to pytanie, to utonąła ona w wietrze i morskiej pianie. Siedzący obok Irlandczyk wyglądał na lepiej zorientowanego, ale nie odezwał się słowem. I chociaż dawno już zastąpił białą magię irlandzkiego katolicyzmu jego new agewskim urokiem, to wydawało się, że zostało w nim coś z wyczucia tego niezwyklego miejsca, które mieliśmy zwiedzać.

Najpełniej wysłuchane modlitwy to takie, które nigdy nie zostały wypowiedziane. I tak, w tym miejscu łaską wydawały się jasne promienie słońca, które ni stąd ni z zowąd rozpraszały chmury. Zbliżaliśmy się do klasztornej wyspy w pełnym przepychu niebieskiego nieba i ciężko unoszącego się morza; przed nami dwie wyspy Skellig: jedna będąca sanktuarium ptaków, druga sanktuarium ducha.

Filtrem codzienności blokujemy oślepiające światło świętości. Rozmawialiśmy o dwóch turystach, którzy rok temu zginęli na Skellig słuchając powtarzających się upomnień opiekunów wyspy, a dotyczących bezpieczeństwa poruszania się po niej. Latarnia morska po drugiej stronie wyspy działa dzisiaj automatycznie, ale kiedyś obsługiwali ją latarnicy mieszkając tutaj tygodniami. Dowozili ich do wyspy i zaopatrywali w żywność heroiczni żeglarze kompani Irish Lights, kapitanem jednej z

Łodzi był mój dziadek Mike Sullivan. Za każdym razem kwaterowało tu wraz z rodzinami 3 latarników, na wypadek gdyby jeden z nich postradał zmysły, wówczas dwóch pozostałych miałyby szansę go obezwładnić. Może dlatego przebywa na niej dzisiaj trzech jej opiekunów. Z zawodu są archeologami, ale potajemnie trzyma ich na wyspie ta sama potrzeba samotności, tak jak to było w przypadku latarników, a jeszcze przedtem celtyckich mnichów.

Cokolwiek można by powiedzieć o historii Skellig, to są to tylko domysły. Tak, jak się to ma z „historycznymi” miejscami w Ziemi Świętej i tym „co naprawdę” wydarzyło się w historiach ewangelicznych, nie ma to większego znaczenia. Co się liczy, to nasze poczucie obecności w miejscu lub wobec Słowa, które do nas przemawiają. Wspinaczka po 500 schodach na szczyt skały to ciężka praca, może tak samo, jak trudne jest uniesienie się duszy. I tak jak w życiu, na drodze wzwyż znajdowały się od czasu do czasu miejsca na odpoczynek, jednak zawrócić z nich nie było jak. Poczulem pierwsze przebłyski mojego ego, kiedy inni odwiedzający zakłócali mi tok myśli, czy też rytm kroku podczas wspinaczki, zatrzymując się by zrobić zdjęcie. Mnisi, którzy tu mieszkali musieli dobrze znać samych siebie, inaczej by nie przetrwali razem.

Żyli w ciasnej enklawie otoczonej murem, w której to zbudowali sześć chat w kształcie pszczelego ula, jedna z nich służyła za kuchnię i miejsce spotkań. Na jej terenie mieściły się jeszcze dwa oratoria, zbudowane pod osłoną zakrzywionej części szczytu skały. Jedna z wielu legend głosi, że w XIV wieku przybył na wyspę „król świata” Daire Domhain, by zebrać siły przed decydującą bitwą. Może ten tytuł królewski brzmi zbyt pompatycznie, ale tak się zapewne poczuł, kiedy patrzył na świat wokół ze szczytu Skellig.

Co zadziwia jednak najbardziej, to fakt, że to wyludnione i często niedostępne miejsce było zarówno miejscem odosobnienia jak i wspólnoty. Bo gdyby chciano tylko uciec od życia, to, dlaczego mieszkało tu 12 mnichów dzieląc chatki we dwoje? Archeolodzy odkryli pozostałości pustelni na szczycie południowej góry, ale w przeważającej części Skelling była miejscem wspólnego życia i modlitwy. Spożywano posiłki, modlono się, dzielono obowiązkami. Zmarłych grzebano na niewielkim cmentarzu, uprawiano warzywa na skrawku roli, zbierano wodę do picia i wybierano mewom jaja z gniazd. Niczym nie przypomina to współczesnych „odosobnień” kawalerek singli naszych miejskich aglomeracji. Zdumiewa, jak musiało wyglądać tutaj codzienne i zwykłe życie.

Tak więc naprawdę pozostaje pytanie: „Co u licha ich tu przygnało”?

Wystarczy odłożyć na pół godziny aparat fotograficzny i spędzić je w jednej z chatek, by poczuć coś z odpowiedzi – wstręt lub euforię. Albo byli oni chorymi społecznie pomyłkami albo znaleźli w swoim życiu coś, co chcieli głębiej poczuć właśnie tutaj. Prawdopodobnie zakochani w miłości, z której nie da się odkochać. Kiedy mnisi opuścili wyspę na zawsze, stała się ona miejscem pielgrzymek i pokuty. Przyciągała pięknem swej surowości. Zamieniła się w sanktuarium bliskości, pokoju i czystej miłości.

With much love,
Laurence Freeman OSB
Skellig, sierpień 2010

Aisling

Aisling (wymawiane Ashlin), to irlandzkie imię oznaczające piękny sen, albo wizję. Z pewnością była tym dla swoich rodziców Jacka i Anny Sullivan, swoich czterech braci i wszystkich, którzy ją znali. Była małym chochlikiem o blond włosach, doskonała, pełna zaraźliwej miłości do życia i przygody, w niewinny sposób pewna swego uroku, któremu nie można było się oprzeć. Uwielbiała różowy kolor, uwielbiała tańczyć, robić watę cukrową, medytować, słuchać ciągle od nowa swoich ulubionych książeczek, turlać się po podłodze ze swym rodzeństwem...

Kiedy miała pięć i pół roku, na kilka dni przed tragicznym wypadkiem, wyszła z samochodu na molo na wyspie Bere. Ku przerażeniu Anny wskoczyła na murek oddzielający molo od wody. Zaczęła po nim iść nad wysokim urwiskiem łapiąc równowagę z leżącą w jej naturze pełną szczęścia pieczołowitością i pewnością siebie. Przekonano ją wreszcie, aby zesła z murku i później już w domu dla utrwalenia lekcji zabroniono przez pięć minut opuszczać pokoju.

Niedający się przewidzieć, ani zapobiec wypadek zakończył jej radosne dni na tym świecie. Tańczyła w salonie i ściągnęła na swoją złotą główkę gzyms kominka. Kiedy tylko Anna to zobaczyła natychmiast zdała sobie sprawę, jako pielęgniarka oddziału intensywnej opieki medycznej i jako matka, że stało się coś strasznego i Aisling stanęła na progu śmierci. Przez kilka dni trzymała ją przy życiu szczątkowa aktywność elektryczna w pniu mózgu. Ilość urządzeń aparatury medycznej otaczające jej malutkie łóżeczko wydawała się nieproporcjonalna w porównaniu do starszych pacjentów zajmujących sąsiednie łóżka na OIOM-ie w szpitalu w Cork. Natura i technika stanęły ze sobą w szranki. Monitory pokazywały, że jej mózg jest nieodwracalnie uszkodzony. Aparatura wspomagająca oddychanie i kroplówki podtrzymywały oddech.

Ale technologia, to tylko część większego obrazu tej tragedii. Podarowała ona bezcenny czas, aby wokół Aisling zgromadziła się rodzina, a jej rodzice i bracia zaczęli się przyzwyczajać do czeluści, która tak nagle i podstępnie otworzyła się przed nimi i która w jednej chwili na zawsze odmieniła ich życie. Nie ma w życiu wielu takich momentów, w których od razu wiesz, że nigdy nie będziesz w stanie, albo nawet nie będziesz chciał ich zapomnieć, jakkolwiek okropne by one nie były. Kiedy się zdarzają, zostajemy przytłoczeni ogromem tajemnicy życia, przez którą przechodzimy i której obywatelami jesteśmy, a delikatność i piękno świata wokół wydają się wtedy nie do zniesienia.

Kiedy natura i technologia dały za wygraną i Aisling zmarła w ramionach swoich rodziców, jej bracia, przygotowani mądrze na nieuchronny koniec pomogli umyć jej ciało. Działo się to przecież w Irlandii, gdzie śmierć jest częścią życia. Kiedy wrócili na wyspę ze szpitala zobaczyli, że sąsiedzi i przyjaciele wysprzątały dom, skosili trawę i przygotowali dodatkowe łóżka dla krewnych z Ameryki. Księża z parafii dużo w tym czasie nauczali i przygotowywali się do liturgii uwzględniając poszczególne życzenia członków rodziny.

Czuwanie trwało kilka dni, bo tak wiele osób przychodziło złożyć kondolencje, usiąść i porozmawiać. Dawni, w podeszłym już wieku pacjenci, którymi opiekowała się Anna w mieście, a którzy teraz wychodzili z domu tylko po to, żeby pójść do lekarza,

przybywali promem, by wziąć udział w żałobie. Zwaśniony sąsiad wyciągnął rękę na zgodę. Uśpione przyjaźnie odżyły. Spojrzenie, uścisk, kilka słów komunikowały, że złamane serce wstrząsa wszystkimi sercami.

„Tylko przez wrota serca skruszonego
Wnijdzie w człowieka Chrystusowe tchnienie”*

Złamane serce otwiera drogę innym ośrodkom świadomości, z którymi szuka zjednoczenia i kiedy nasze serca są „dotknięte”, wówczas uciekają od zaskorupiałych wspomnień i złych uczuć, które je zamykają. To może właśnie z tego powodu czujemy jakąś dziwną wdzięczność i cześć dla tych bezpośrednio dotkniętych tragicznym cierpieniem. Nie zdając sobie wtedy z tego sprawy - tak jak Aisling, kiedy błogosławiła wszystkich wokół swym pełnym szczęścia życiem - teraz ci którzy cierpią, uczą i prowadzą innych. Ludzkie współczucie jest naturalną siłą i kiedy jest przebudzone, wyzwolona zostaje nieprzewidywalna energia (choć może w chwili nieszczęścia niezrozumiała), którą nazywamy łaską. Tragedia popycha nas na przerażający brzeg przepaści, ale kiedy już spadamy, to odkrywamy, że jesteśmy niesieni, jak na niewidocznych prądach powietrza.

Te pełne tajemnicy, niewypowiedziane, choć namacalne dotknięcia łaski pośrodku tragicznej straty żądają wyrazu. Msza pogrzebowa i miejscowe tradycje odegrały właśnie taką rolę łącząc w sobie to, co pradawne i bezosobowe, z tym, co jest całkowicie indywidualne i spontaniczne. Ludzie nie zmieścili się w kościele na wyspie. Ci na zewnątrz mieli ustawione głośniki DJ'a, aby mogli słyszeć, co dzieje się w środku. Mogłoby to być zachowanie naganne dla kilku agresywnych ateistów, gdyby ktokolwiek czuł, że warto z nimi dyskutować. Wiele sposobów, na jakie ludzie odpowiadali na tragedię było samo w sobie uzdrowieniem i nadaniem sensu, jakiego domaga się ludzki ból. Bóg nie sprawia, że rzeczy się dzieją. Bóg jest z nami.

With much love

Laurence Freeman OSB
Bere Islands, czerwiec 2010

*Ballada o więzieniu w Reading, Oscar Wilde. tłum. Adam Wołek, Kraków 1976

Szpital

Zanim wstałem, by wyjść, bezmyślnie jak dwulatek, sięgnąłem po ozdóbkę, która stała obok na półce. Była to jedna z tych błyszczących, polerowanych, kamiennych kulek, które tak łatwo wprowadzić w ruch, że nie nadają się nawet na przycisk do papieru. Przez chwilę trzymałem kulkę w dłoni podziwiając piękno kamienia, a gdy chciałem ją odłożyć wyślizgnęła mi się z dłoni. Próbowałem złapać ją drugą ręką, ale wypadła mi i boleśnie uderzyła mnie w mały palec. Gdy minął pierwszy, gwałtowny ból, zauważyłem, że mój palec ma zupełnie nowy, interesujący kształt.

Postrzeżenie swojego ciała w inny sposób, nawet jeśli chodzi o tak małą jego część jak palec, zupełnie zmienia naszą percepcję świata. Wyobraźcie sobie, co dzieje się przy zmartwychwstaniu! Kusiło mnie, żeby siłą przywrócić palec do jego normalnej

pozycji, ale poradzono mi, bym tego nie robił. Nikt nie wiedział, w którą stronę należało go wygiąć czy pociągnąć. Palec trochę pulsował, ale był sztywny. Czułem się niekomfortowo, byłem bezradny i potrzebowałem pomocy.

W jej poszukiwaniu udałem się na izbę przyjęć szpitala St Mary's Paddington, gdzie na jednej ze ścian ujrzałem podnoszącą na duchu tabliczkę informującą, że w tym właśnie budynku Alexander Fleming odkrył penicylinę – w roku mego urodzenia, może to swego rodzaju karmiczne połączenie. Jak większość londyńskich szpitali St. Mary's Paddington miał w sobie coś domowego, panował tam lekki nieład, a budynek zdecydowanie nie przypominał szklano-metalowych przybytków higieny znanych z telewizji. W każdym razie panowała w nim przyjazna atmosfera. Musiałem podać imię i nazwisko oraz zaprezentować kilka rutynowych dowodów swego istnienia społecznego pewnej lekko znudzonej rejestratorce, którą ledwo było widać zza ekranu komputera oklejonego masą papierowych karteczek przypominających o najróżniejszych ważnych sprawach. Nie zapytano mnie, czy mam ubezpieczenie zdrowotne, ani nawet czy jestem obywatelem brytyjskim. Nie rozpieszczano mnie, ale też nie odrzucono, ani nie potraktowano jak klienta. Po prostu przyjęto mnie jako osobę w potrzebie i ustawiono w szeregu z innymi ludźmi potrzebującymi pomocy.

Siedliśmy sobie wraz z moim towarzyszem i obserwowaliśmy innych oczekujących. Niektórzy przyszli sami, inni z całymi rodzinami. Sporadycznie mój wzrok napotykał wzrok kogoś z nich i widać było, że obie strony zastanawiają się w tym momencie, co też takiego dolega drugiej osobie. Czasami było to oczywiste. Jakże bezbronni jesteśmy w momencie, gdy inni poznają nasze prawdziwe potrzeby! Mężczyzna obok mnie miał bandaż na kciuku. Sądząc, że należymy do tej samej kategorii, zapytałem, czy złamał sobie palec. Odpowiedział, że o mały włos byłby go sobie odciął podczas cięcia papieru w biurze. Był bardzo wystraszony i wymruczał coś na temat bycia tragicznie głupim. Podobnie jak ja, podobnie jak wszyscy w potrzebie, czuł się „głupio” wobec pomyłek, które doprowadzają do takiej sytuacji jak ta, w której się znajdowaliśmy.

Spodziewaliśmy się długiego czekania w kolejce, więc postanowiliśmy pomedytować. Była to jednak krótka modlitwa – nota bene św. Benedykt twierdzi, że modlitwy powinny być krótkie – ponieważ niebawem wywołano moje imię. System zapamiętał nawet moje imię! Skierowano mnie do odpowiedniego pomieszczenia, zrobiono zdjęcie RTG i kazano znów czekać. Niedługo potem leżąc w pokoju zabiegowym żartowałem z pogodną, korpulentną pielęgniarką, która w szkole zapewne była kapitanem drużyny hokejowej. Miała już za sobą specjalizację z pielęgniarstwa pediatrycznego, a teraz odbywała dodatkowe praktyki. Podczas rozmowy oceniała moje obrażenia. Powiedziała, że mogłaby wyprostować wybity palec, ale że w tej chwili jeszcze nie powinna tego robić. Wkrótce pojawił się uprzejmy lekarz, z pochodzenia Hindus. Miał na sobie dżinsy i za pewne uczono go radzić sobie z poważniejszymi problemami niż wybity palec. Wziąłem głęboki oddech, by zaczerpnąć środka znieczulającego i czekałem na bolesne szarpnięcie, ale prawie nic nie poczułem.

- To wszystko?

- Tak, już po wszystkim, ale jeszcze nim nie ruszaj.

Cały świat jest szpitalem

Ufundowanym przez zrujnowanego milionera *

Leczenie jeszcze się nie zakończyło. Musiałem pójść na kolejne zdjęcie, żeby się upewnić, czy zabieg podziałał. Moja uśmiechnięta pielęgniarka przyszła założyć opatrunek, gdy na izbie przyjęć pojawił się prawdziwy nagły przypadek. Zatrzymanie akcji serca. Lekarze i pielęgniarki rzucili wszystko i pobiegli na swoje stanowiska niczym drużyna futbolowa realizująca tajemny plan gry. To, co robili sprawiało im przyjemność. Wraz z innymi lżejszymi przypadkami wcisnąłem się w ścianę, gdy przewożono koło nas reanimowanego pacjenta otoczonego przez ludzi, których jedyną troską było uratowanie mu życia – uratowanie życia zupełnie obcej osobie, tak samo obcej jak obcy byliśmy my, zanim nie przedstawiliśmy naszych dolegliwości. Gdy moja pielęgniarka w końcu wróciła, zapytałem, co stało się z reanimowanym człowiekiem. Jej twarz rozjaśniła się: „Wyciągnęliśmy go z tego”.

Pod krwawymi rękami
Czujemy współczucie uzdrowiciela
Odczytującego enigmatyczną kartę chorobową. *

Pielęgniarki i lekarze nie udawali, że są doskonali. Szpital nie był doskonałą społecznością. Gdyby popełnili błąd, byłiby za niego odpowiedzialni. Byli uzdrowicielami dla innych ludzi.

Gdybyśmy tylko potrafili w ten sam sposób patrzeć na Kościół!

With much love
Laurence Freeman OSB
Londyn, maj 2010

*TS. Eliot Cztery Kwartety (na Wielki Piątek)

Tłum. Maria Obojska

Katastrofa

"Potrzebujemy modlitwy i więcej żołnierzy". Większość z nas z pewnością nigdy nie doświadczy sytuacji takiego załamania struktury społecznej, które sprawi, że w tak rozpaczliwy sposób będziemy wołać o pomoc na Facebook'u, naszym ostatnim sposobie komunikacji z zewnętrznym światem, który nagle stanie się przeraźliwie daleki od tragedii, która całkiem nas od niego odetnie i odizoluje.

Wszyscy dobrze wiemy, choć jest to zrozumiałe, że wolimy o tym nie myśleć, na jakim ostrzu noża znajduje się nasze życie. W kilka chwil i całe nasze poczucie bezpieczeństwa, systemy zarządzania i plany na życie mogą wyparować. I zamiast zastanawiać się, jak uda nam się wpasować wizytę u dentysty i jutrzejsze spotkania w nasz napięty plan, możemy z zawrotami głowy spoglądać w dół przepaści. Właśnie to, w niespełna 120 sekund wydarzyło się w Chile, gdy płyty tektoniczne zagrzmiały i przesunęły się powodując największe znane trzęsienie na ziemi, a zaraz potem dziesięciometrowe tsunami uderzyło w wybrzeże.

Jak tylko usłyszałem wiadomości, usiłowałem skontaktować się z MariaRosą, naszą koordynatorką, która mieszka w Conception, drugim pod względem wielkości mieście Chile, bardzo blisko epicentrum. Dopiero dzisiaj zamieściła post na Facebook'u, taki, że "ciarki przechodzą po plecach" - "chilling". Przykra gra słów w języku angielskim wydaje się tutaj niestety odpowiednim określeniem. (chilling - Chile). "Panuje totalny chaos - ludzie mają broń i kiedy robi się ciemno płądrują domy. Ostatniej nocy nasi sąsiedzi bronili nas i nasze domy, to jest naprawdę straszne, nie ma prądu, nie ma wody, nie ma jedzenia. Proszę módlcie się, w nocy musimy pilnować ulic, aby szabrownicy nie wchodzili do naszych domów. To gorsze niż trzęsienie ziemi i tsunami, to okrutne. Zależnie od tego, co dzisiaj się wydarzy i czy uda mi się zdobyć paliwo, pojedę jutro z dziećmi do Santiago."

Wydaje się, że jedyną gorszą rzeczą od katastrofy naturalnej podobnych rozmiarów jest załamanie się ludzkich norm społecznych, dzięki którym społeczeństwo może nazywać się cywilizacją. Jak łatwo stwierdzamy, że poziom cywilizacji został osiągnięty. I jak łatwo możemy być tą cywilizacją znudzeni, albo ją zatracić w obliczu lęków wzbudzonych przez przemożny instynkt przeżycia. Co przeraża bardziej niż strata życia albo kończyny, to nagła wizja ludzi, których jeszcze wczoraj spokojnie mijaliśmy na ulicy, pochłoniętych dzisiaj przez przemoc i okrucieństwo, które nie są ich własne i które czynią ich tak bardzo obcymi nie tylko dla nas, ale i dla nich samych. Szał chęci przeżycia wydaje się wyrastać z jakiegoś ukrytego zwierzęcego pragnienia życia za wszelką cenę, głodu tak głębokiego, jak sama otchłań. Tej otchłani nic na zewnątrz nie jest winne. Jest ona w naszym wnętrzu. Instynkt przeżycia może zniszczyć naszą zdolność oddania samych siebie i współodczuwania oraz poddać sobie wszystkie relacje społeczne i potrzeby innych.

Jednak to, jak zachowamy się w czasie katastrofy jest trudne do przewidzenia. Kiedy kilka lat temu Quebec i część wschodniego wybrzeża zostały w środku zimy na kilkanaście dni odcięte od prądu, rząd kanadyjski wysłał żołnierzy i dodatkowo powołał rezerwę. Rządzący oczekiwali, że nastąpi społeczny chaos, ale nic takiego się nie wydarzyło. W Montrealu słyszałem, że właściciele domów tworzyli coś w rodzaju wspólnot mieszkańców ulic dzieląc się żywnością i organizując opiekę nad chorymi i starymi. Żołnierze siedzieli czekając na chaos, który powszechnie panujące ludzkie współczucie odwróciło. Nie znaczy to oczywiście, że Kanadyjczycy są lepsi od Chilijczyków i jestem pewien, że usłyszymy z miejsca tragedii o heroicznym i pełnym poświęcenia aktach, które wielokrotnie przewyższą to, co zrobili szabrownicy i wandalowie w Conception. Nie chodzi tutaj o zestawienia narodowej ligii cnoty. Wiemy z dwunastoletniego okresu nazistowskiego barbarzyństwa, bombardowania Drezna przez Aliantów, albo kilka dekad później z trzyletniego oblężenia Sarajewa i Srebrenicy, że otchłań może się otworzyć gdziekolwiek, tak nieoczekiwanie, jak katastrofy naturalne, których tak bardzo się boimy. Ta ludzka nieprzewidywalność sprawia tylko, że brzeg noża wydaje się jeszcze ostrzejszy.

"Dziękuję" - napisała MariaRosa nim wyczerpała się jej bateria w komputerze - "wytrzymuję tylko dlatego, że czuję, że wszyscy jesteśmy zjednoczeni w modlitwie. Pozdrowienia dla was wszystkich." Modlitwa dla niektórych może być tylko psychologicznym podparciem, gdy krytyczna sytuacja zabrała już całe poczucie bezpieczeństwa. Jednakże dla innych jest to prawdziwa siła. Nie magia, która może z powrotem złożyć pęknięte płyty tektoniczne albo odwrócić fale tsunami, ale świadomość przepojona przez wiarę: "widzenie tego, co niewidzialne".

Ta świadomość często staje się silniejsza w czasach kryzysu niż wtedy, kiedy jesteśmy pewni naszych rutynowych zabezpieczeń, niż w czasie codziennych komplikacji i stresów. Modlitwa oznacza wiedzę. W najtrudniejszym czasie możemy wiedzieć, że - pomimo okrucieństwa izolacji - przynależymy do boskiego porządku, którego najgłębsza otchłań nie może pochłonać. Z tej wiedzy nieoczekiwanie wyłania się słowo "miłość". Wyraża coś, czego żadne inne słowo lepiej nie wyrazi i jest naładowane znaczeniem, które zmienia znaczenie wszystkiego.

With much love
Laurence Freeman OSB
Chile, luty 2010

tłum. Ewa Pado

Kryzys

W jeden z zimowych londyńskich poranków znalazłem się na konferencji o tematyce sytuacji ekonomicznej na świecie. Prognoza pogody na ten dzień była zła, ale przytulny i elegancki pokój w Centrum Spraw Zagranicznych na St. James Square gościł wybrane grono ekspertów, którzy usiłowali dokonać wglądu w ekonomiczną przyszłość świata. Słuchaczmi byli dziennikarze, ekonomiści, finansisci i biznesmeni zdający się posiadać rozeznanie, w jakim kierunku podąża rozwój ekonomiczny. Przybyli by sprawdzić i pogłębić swoje własne poglądy, słuchając przebywającego z wizytą w Londynie gościa Centrum, mojego przyjaciela i VIP-a jednego z międzynarodowych banków, podziwianego w swojej branży za szeroką i dogłębną wiedzę.

Zgromadzeni słuchacze nie byli pośrednikami w rozdzielaniu władzy, ale pośrednikami wiedzy, tymi, którzy informowali decydentów. Byli to ludzie mówiący spokojnym głosem, a nie językiem demagogów. Przedstawiali dwa lub trzy możliwe warianty i wyjaśniali, który z nich byłoby najlepszy, jeśli przyszłoby do dokonania wyboru. Znali się dobrze na tym o czym mówili, wydawali się być wolni od interesowności, samooszukiwania się i manipulowania opinią publiczną - językiem typowym dla polityków walczących o ponowny wybór przez swój elektorat, albo zorientowanych na zyski inwestorów.

Rozmawialiśmy o kryzysie rzeczowo i spokojnie. Uczestnicy mieli tę pewną siebie skromność ekspertów, którzy zafascynowani są przedmiotem rozważań ze względu na niego samego - jak stolarz skoncentrowany na swoim rzemiośle, a nie na cenie sprzedaży stołu, który właśnie wykonuje. Można było wyczuć atmosferę akademickiej precyzji, powściągliwości i osobistej kultury. Każdy rozumiał, że nie ma monopolu na wyjaśnienia albo prostego rozwiązania. W takiej dyskusji zrozumiałe były motywy Chińczyków, którzy storpedowali rozmowy w Kopenhadze, nie z powodu ich pustego samolubstwa. Dowiedziałem się, że nadrzędnym i gorączkowym celem społecznym rządu Chin jest teraz wykorzenienie ich własnej olbrzymiej nędzy i nikt i nic ich przed tym nie powstrzyma, nawet zmiany klimatu. Nawet na tym poziomie wybór jest zawsze moralny - konflikt interesów między własną rodziną i potrzebami innych jest dylematem, który tylko mądrość i odwaga

potrafią rozwiązać. Jeśli twoje dziecko i dziecko obcego człowieka płaczą głodne, które nakarmisz jako pierwsze?

Wnioski z tego typu porannych dyskusji determinowały prawdopodobnie cenę kawy, jaką później piłem z moim przyjacielem, jak również to, skąd ta kawa została sprowadzona oraz ile pieniędzy będzie w stanie wystać do domu dla swojej rodziny obsługująca nas polska kelnerka. Wielkie i przejrzyste abstrakcje ekspertów nie są pomimo tego, co mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać, do końca z innego świata. Jasność widzenia, duchowa dojrzałość i wewnętrzna integracja tak tęgich głów ma duży wpływ na życie tych, dla których cena kawy, biletu komunikacji miejskiej i najniższa pensja krajowa są codziennymi troskami. Mój przyjaciel nie mówił o duchowości, ale o globalnych zmianach idących za recesją. Kiedy jednak komentował klęskę mechanizmu samonaprawy globalnego systemu bankowego, po bezprawiu praktyk panujących w ostatnich kilku latach, wówczas czułem w tym ton i wrażliwość, które cechowały kontemplatywne doświadczenie prawdy, a nie tylko stwierdzenia oparte na statystykach. Może w końcu subtelne odcienie doświadczonej prawdy nadają kształt interpretacji statystycznych tabel i ostatecznie przesądzają o tym, czy ten świat jest bardziej czy mniej sprawiedliwym miejscem po tym, jak zrobimy to, co należy do naszego obowiązku.

Moje krótkie spotkanie z tymi mądrymi ludźmi z dziedziny światowej ekonomii wprowadziło mnie w zadumę nad dystansem między wielkimi i małymi. Jakże zapalna i wrażliwa wydaje się być ta bolesna otchłań między Bogaczem a Łazarzem, widoczna już w historii pierwszych ludzkich społeczności i w cenie domów w różnych dzielnicach każdego współczesnego miasta.

Niedługo potem znalazłem się w odległej wiejskiej parafii w Queensland, porośniętej młodą zieloną trawą po obfitych deszczach. Byłem tam z niezwykłym biskupem, Brianem Heenanem. Był on ciepło pozdrawiany i witany jako "Ojciec", w odwiedzanych przez nas małych wspólnotach wiernych rozrzuconych na przestrzeni setek kilometrów. W górniczym miasteczku Capella, ochrzcziliśmy czteromiesięcznego Jonaha. Jadąc samochodem rozmawialiśmy z Brianem o Kościele. Jakże odległe wydają się być watykańskie sprzeczki od życia prostych chrześcijan w tych parafiach. A więc te same podziały, powszechna i bolesna niesprawiedliwość istnieją nie tylko w ekonomii, ale także w Kościele. Pod tym względem Kościół to jeszcze jedna część świata, jeszcze jedna globalna instytucja.

Czułem jednak – przynajmniej taką miałem nadzieję – kiedy mały Jonah otworzył swoje oczka, jak chrzcielna woda spływała po jego czole, że dane nam było zaświadczyć, choć na moment i nie końca dobitnie, że ta pradawna otchłań między ludźmi, która jest powodem naszych najgorszych porażek jako ludzkości, jest do przekroczenia. Nikt tego lepiej nie pokazuje niż Chrystus, który stał się mostem między bogatymi i biednymi, możnymi i pozbawionymi głosu, profesorem i kierowcą buldożera. Kościołem zaś jest naprawdę jedynie ten, który jest takim mostem.

With much love
Laurence Freeman OSB
Capella, styczeń 2010

tłum. Ewa Pado